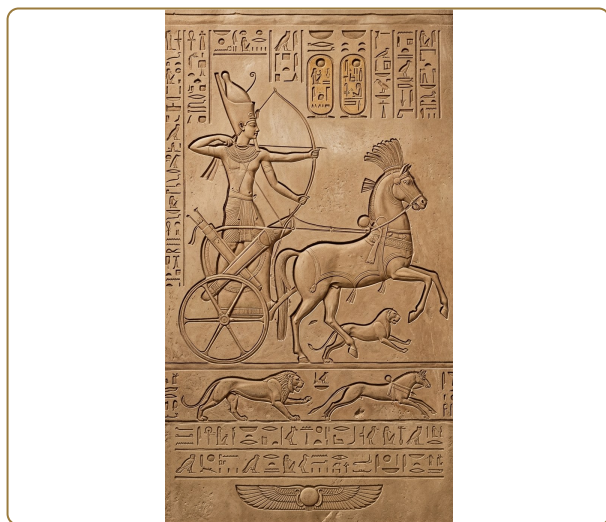


MOJŻESZ

TOM 2

WIELKI DOWÓDCA ARMII



MAREK MIGAŁA

SAGA O MOJŻESZU

Tom 1

Obrońca Egiptu

Tom 2

Wielki Dowódca Armii

Tom 3

Prawa Ręka Boga

(w przygotowaniu)

Tom 4

Ziemia Obiecana

(w przygotowaniu)

*Zanim cię ukształtowałem w łonie matki, znałem cię,
zanim przyszedłeś na świat, poświęciłem cię,
prorokiem dla narodów ustanowiłem cię.*

*Odpowiedziałem: «Ach, Panie Boże,
przecież nie umiem mówić,
bo jestem zbyt młody.»*

Jr 1,5–6

Copyright © Marek Migąła, 2026

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Żadna część tej publikacji nie może być reprodukowana, przechowywana w systemie wyszukiwania ani przekazywana w jakiegokolwiek formie lub jakimikolwiek środkami — elektronicznymi, mechanicznymi, fotokopią, nagraniem ani innymi — bez uprzedniej pisemnej zgody autora.

Wydanie pierwsze, 2026

Wielki Dowódca Armii jest powieścią historyczno-fikcyjną. Postacie i wydarzenia zostały zainspirowane tradycją biblijną i starożytną, jednak przedstawione tu myśli, dialogi i szczegóły fabularne są dziełem wyobraźni autora.

EGIPT W CZASACH SETIEGO I RAMZESA II

NAJWAŻNIEJSZE BITWY I WYDARZENIA



SETI I

(1290-1279 p.n.e.)

Wielki wojownik, który odbudował potęgę Egiptu.



RAMZES II

(1279-1213 p.n.e.)

Największy władca Nowego Państwa.



Najważniejsze wydarzenia



Bitwa pod Kadesz
(1274 p.n.e.)

- Ramzes II vs Hetyci



Bitwa pod Rafa
(1296 p.n.e.)

- Seti I vs Libijczy



Bitwa z wojskami Kusz
(1279 p.n.e.)

- Seti I vs Kusz

SPIS TREŚCI

Słowo od Autora.....	7
Prolog — Krzyż dróg.....	13
<i>Egipt i Kush — zanim Mojżesz stanął przy krzewie</i>	
Rozdział I — Saba	19
<i>Miasto-wyspa — oblężenie, które nic nie daje</i>	
Rozdział II — Kobieta na murach	45
<i>Saba — od oblężenia do spotkania</i>	
Rozdział III — Córka króla.....	62
<i>Saba — Tarbis i negocjacje</i>	
Rozdział IV — Powrót bohatera	78
<i>Saba i Memfis — triumf i jego cena</i>	
Rozdział V — Cień na dworze.....	104
<i>Memfis — triumf, który budzi wrogów</i>	
Rozdział VI — Delta.....	119
<i>Memfis i wybrzeże — pierwszy rozkaz nowego pana</i>	
Rozdział VII — Lata spokojne.....	138
<i>Memfis — życie, które się buduje</i>	
Rozdział VIII — Cień nad Memfis	156
<i>Memfis — spisek, który dojrzeje w ciszy</i>	
Rozdział IX — Pałac.....	179
<i>Memfis — blask, plotka i pojedynek</i>	
Rozdział X — Śmierć Tarbis	196
<i>Memfis — trucizna i koniec</i>	
Rozdział XI — Kadesz.....	222
<i>Nad Orontesem — ostatnia wojna faraona i ostatnia wojna znajdy</i>	

Rozdział XII — Nadzorca.....	240
<i>Memfis — krew i ucieczka</i>	
Rozdział XIII — Ucieczka.....	254
<i>Droga z Memfis i dwór, który zostaje</i>	
Rozdział XIV — Pustynia i góra.....	270
<i>Midian — studnia, córki Jetry, dwa imiona Boga</i>	
Rozdział XV — Dom.....	285
<i>Midian — Sefora, owce, synowie</i>	
Rozdział XVI — Czterdzieści lat milczenia	317
<i>Midian — sny wracają, Horeb</i>	
Rozdział XVII — Pozwolenie	341
<i>Midian — między Horebem a drogą do Egiptu</i>	
Epilog — Powrót.....	357
<i>Egipt — czterdzieści lat później, pierwsza audycja</i>	

SŁOWO OD AUTORA

Tom 2 jest bezpośrednią kontynuacją Tomu 1 — Obrońca Egiptu.

W pierwszym tomie poznaliśmy Mojżesza jako człowieka dwóch światów — Hebrajczyka wychowanego na egipskim dworze, który tak naprawdę nie należał do żadnego z nich. Za wysoko urodzony, by być niewolnikiem, i za obcej krwi, by być prawdziwym Egipcjaninem, nosił w sobie pęknięcie, którego żaden tytuł ani żadna świątynna nauka nie umiała zaleczyć.

W tym tomie Mojżesz wspina się na sam szczyt egipskiej hierarchii — nie dzięki urodzeniu, którego nie miał, lecz dzięki własnej inteligencji i zdolnościom dowódczym. I przez długie lata wydaje się, że szala jego egipskiej natury wreszcie przeważy. Splendor, zaszczyty, władza, bogactwo — osiąga wszystko, o czym człowiek mógłby marzyć, a nawet więcej, niż marzyć wypada komuś, czyj lud lepi cegły w Goszenie.

Tymczasem jego wrogowie nie śpią. Snują swoje intrygi w ukryciu, świadomi, że na otwarty konflikt z bohaterem Egiptu na razie nie mogą sobie pozwolić — więc zamiast miecza sięgają po szept, po plotkę, po cierpliwe sianie nieufności na dworze. To, czego nie da się obalić siłą, próbują podmyć od środka.

A wszystko to — i splendor, i intryga, i to, co przyjdzie potem — prowadzi Mojżesza ku przeznaczeniu, które sięga dalej niż jakakolwiek władza w ludzkim królestwie. Bo Ten, który wybrał go na swoje narzędzie, ma już wobec niego inne plany, niż mają dwór, armia i sam Mojżesz.

Starałem się pokazać go takim, jakim musiał być: człowiekiem z historią, nie człowiekiem z gotową misją. Kimś, kto zdążył poznać swoje granice boleśnie — i który mimo to, kiedy przyszedł rozkaz, ruszył.

Kimże jestem, żebym szedł do faraona?

To jedno zdanie powiedziało mi o Mojżeszu więcej niż wszystkie jego cuda razem wzięte.

*Marek Migala
2026*

DRAMATIS PERSONAE

Główne postacie sagi

RODZINA MOJŻESZA

Mojżesz Hebrajczyk wychowany na dworze faraona. Wielki Dwódca Południa, kapłan Per-Ankh, zbieg i pasterz. Protagonista.

Aaron Starszy brat Mojżesza. Garncarz w Goszenie. Człowiek ludu — cierpliwy, trzeźwy, nieomylnie rozumiejący tych, których Mojżesz zna tylko z odległości. Powstrzymuje brata przed pochopnym wejściem do faraona, nalegając najpierw na rozmowę ze starszyzną.

Miriam Siostra Mojżesza i Aarona. Prorokini Goszeniu. Jako dziecko czuwała przy koszyku na Nilu. Przyjmuje Seforę pod swój dach podczas pierwszej audiencji u faraona i uczy ją pieśni hebrajskich.

Amram Ojciec Mojżesza. Lewita, robotnik przy cegielniach Goszeniu.

Jochebed Matka Mojżesza. Karmiła go przez trzy lata, nierozpoznana przez własnego syna.

DWÓR EGIPSKI

Termutis

Córka faraona, przybrana matka Mojżesza. Wyciągnęła go z koszyka na Nilu. Kocha go ze wszystkimi błędami, jakie miłość popełnia, gdy chroni zamiast mówić.

Seti	Faraon Egiptu, przybrany dziadek Mojżesza. Trzeźwy, cierpliwy władca — mówi mało, ale każde słowo waży. Przez córkę Termutis wychowuje znajdę jak wnuka, daje mu tytuł Wielkiego Dowódcy Południa i osłania go wbrew dworowi. Umiera, gdy Mojżesz jest jeszcze młodym dowódcą w Egipcie.
Ramzes	Syn Setiego, następca tronu, a po jego śmierci faraon Egiptu. Równieśnik i chłodny rywal Mojżesza od dzieciństwa — widzi w nim najostrzejsze narzędzie Egiptu, nie wnuka. Umiera, gdy Mojżesz przebywa na wygnaniu w Midianie.
Merenptah	Syn Ramzesa i jego następca na tronie. Sam już niemłody, bo ojciec panował długo. Po śmierci ojca zostaje faraonem i jako pierwszy odrzuca żądanie wypuszczenia Izraela.
Ahmose	Dowódca rydwanów, najlepszy przyjaciel Mojżesza. Żołnierz z zasadami — mówi prawdę, nawet gdy boli.
Horemheb	Generał Egiptu, poprzednik Mojżesza. Przegrał kampanię etiopską. Człowiek starej szkoły.
Nehset	Pół-Kuszytka; agentka i szpieg Termutis. Cień, który przez dwadzieścia lat stoi między Mojżeszem a nasłanymi nań ostrzami. Zabija cicho, milczy jeszcze ciszej.

Kipa

Stary sługa Mojżesza od jego chłopięcych lat; dyskretny, wierny cień, który chroni, nie narzucając się. Po ślubie czuwa także nad Tarbis.

ANTAGONIŚCI

Pa-Ramesu	Generał, cierpliwy i precyzyjny wróg Mojżesza, ojciec Setnachta. Nie atakuje wprost — buduje przez dekady.
Setnacht	Syn Pa-Ramesu. Rywalizuje z Mojżeszem od szkoły książąt. Uczy się od ojca cierpliwości jako broni.
Nebamon	Kapłan, który wyrokował przeciw Mojżeszowi jako niemowlęciu. Złożył Termutis przysięgę milczenia — i jej dotrzymał, szukając furtki.
Nakhtmin	Oficer, którego córka była zakładniczką Pa-Ramesu. Zdradził plany Mojżesza — i żyje z tym do końca.
Aziru	Kupiec z Retenu i handlarz śmiercią. Werbuje i prowadzi obcych zabójców dla tego, kto płaci pieczęcią z Memfis. Wróg, którego widać — w odróżnieniu od tych, których nie.

KUSH I ETIOPIA

Kenamon	Król Kush, brat Tarbis. Jedyne antagonista, który dorównuje Mojżeszowi intelektem. Strzelił do własnej siostry.
Tarbis	Księżniczka Kush, żona Mojżesza. Otworzyła bramy Saby. Przez siedemnaście lat małżeństwa była jedyną osobą, która mówiła mu całą prawdę.

Menkhaf	Strażnik z gwardii Kush, który poszedł za Tarbis do Egiptu. Wielki, gadatliwy, o sercu większym niż jego przechwałki. Zjednuje sobie dzieci daktylami i coraz to większymi opowieściami o swoich zmyślonych przewagach wojennych.
----------------	---

Amanre	Najstarszy generał Kush, niegdyś dowódca u ojca Kenamona. Trzeźwy głos rady wojennej w Meroe; to on wykłada Kenamonowi arytmetykę, która każe spisać Sabę.
---------------	--

PER-ANKH I MISTRZOWIE

Nebwenenef	Kapłan Per-Ankh, pierwszy mistrz Mojżesza. Uczył tekstów i zadawał pytania bez odpowiedzi.
-------------------	--

Amenhotep	Kapłan Per-Ankh, mistrz ka i wieloletni nauczyciel Mojżesza. Strażnik Tablic Dżehutiego; uczył widzenia ka i cierpliwości.
------------------	--

Paihu	Kapłan Per-Ankh, człowiek od ptaków. Praktyk ka. Towarzyszy Mojżeszowi przez całą kampanię etiopską.
--------------	--

MIDIAN

Jetro	Kapłan Midianu, teść Mojżesza. Uczy nie przez wykłady, lecz przez opowieści i milczenie.
--------------	--

Sefora	Córka Jetry, druga żona Mojżesza. Trzeźwa, bezpośrednia. Uratowała go z gorączki przy studni i z niejednej rozmowy, którą sam przegrywał.
---------------	---

Gerszom

Starszy syn Mojżesza i Sefory. Jego imię znaczy: *byłem w cudzej ziemi*.

Eliezer

Młodszy syn Mojżesza i Sefory. Jego imię znaczy: *Bóg moich ojców pomógł mi uciec*.

GOSZEN

Datan

Starszy rodu Lewiego. Jego szesnastoletni syn pracuje przy cegielniach — pierwszy, który płaci cenę za żądanie wolności.

POZA ŚWIATEM WIDZIALNYM

Michał

Księżę Izraela, anioł stróż Mojżesza od pierwszego oddechu; ten, którego imię jest pytaniem: „któż jak Bóg”. Nie triumfuje i nie odstępuje — trwa, przypominając sercu imię bez formy.

Mastema

Nie postać z krwi i kości, lecz przeciwnik duchowy. Nie tworzy gniewu — dmucha tylko w iskrę, którą już znajduje, aż stanie się pożarem większym, niż chciał ten, kto ją skrzesał. Nie kłamie: podaje prawdę odwróconą o włos, tak by wskazywała nie ku miłości.



PROLOG — Krzyż dróg

Egipt i Kush — zanim Mojżesz stanął przy krzewie

Droga, która tu doprowadziła

Zanim była Saba, była wojna — długa, wypełniająca sobą cały dwudziesty drugi i dwudziesty trzeci rok życia Mojżesza.

Kush uderzył pierwszy. Armia południa przekroczyła granice Egiptu, gdy nikt się tego nie spodziewał, i przez pierwsze tygodnie zdawało się, że to Egipt będzie liczył straty, nie zwycięstwa. Poprowadził tę wojnę Mojżesz — nie dlatego, że był najstarszym z dowódców, bo nie był, lecz dlatego, że stary Horemheb, patrząc na to, jak myśli, wskazał na niego przed samym faraonem — a stary Seti posłuchał, choć młody Ramzes wolałby być kogoś ze swoich.

I Mojżesz nie zawiódł. Zwyciężył pod Herakleopolis, gdzie etiopska armia rozłożyła się zbyt pewnie. Przechytrzył zasadzkę w dolinie skał, gdzie dwa tysiące łuczników czekało na piechotę, która nie przyszła tam, gdzie jej oczekiwano. Gonił cofającego się wroga na południe przez całe lato, od zwycięstwa do zwycięstwa, ucząc się przy tym rzeczy, których nie uczą w Per-Ankh — że wojna to nie plansza, lecz siedem tysięcy pojedynczych ludzi i że dowódca, który o tym zapomni, wygrywa bitwy, a przegrywa armię.

Ale przeciwnik, którego gonił, nie był głupcem. Kenamon, król Kush, brat, którego imienia Mojżesz jeszcze nie wiązał z niczym prócz nieprzyjacznej korony, umiał przegrywać mądrze. Cofał się nie z paniki, lecz z

rachunku — oddawał pole tam, gdzie nie mógł wygrać, i szukał miejsca, gdzie geografia zrobi za niego to, czego nie zrobiła armia.

Znalazł je.

Saba — miasto nad dwiema rzekami, u zbiegu wód, gdzie Nil rozdziela się na ramiona i otacza mury ze wszystkich stron. Ostatni bastion. Miejsce, w którym pościg musiał się zatrzymać, bo za murami Saby kończyła się wojna, którą dawało się prowadzić ruchem, a zaczynała wojna, którą prowadzi się cierpliwością — oblężenie.

Mojesz miał teraz dwadzieścia trzy lata, koronę zwycięzcy na wyciągnięcie ręki i za sobą kampanię, która z młodego oficera uczyniła Wielkiego Dowódcę Południa. Przed sobą miał mury, których nie dawało się wziąć szturmem, i miasto, które nie zamierzało się poddać.

Tego, co czekało go za tymi murami, nie przewidziałyby żaden podręcznik oblężeń ani żadna narada sztabu. Bo pod Sabą kampania, którą prowadził rozumem i mieczem, miała się skończyć — a zacząć się miało coś, na co ani rozum, ani miecz nie znały reguł.

Miasto nad dwiema rzekami

Na szczycie murów Saby stała kobieta i patrzyła na egipską armię, która rozbijała obóz po drugiej stronie rzeki.

Dwie rzeki i Nil otaczały miasto ze wszystkich stron. Mosty były podniesione. Garnizon liczny i zaopatrzony. Logika geografii mówiła: to miasto nie padnie.

Tarbis, córka króla Kush, stała na wschodniej wieży z wyrazem twarzy, jaki miewała zawsze przy rzeczach wymagających liczenia — nie strachu i nie buty, tylko trzeźwego rachunku między tym, co jest, a tym, co być może.

Garnizon miał zapas na dwa miesiące. Studnie w mieście były głębokie i pewne. Mury — grube, wysokie, wznoszone przez pokolenia właśnie na taki dzień jak ten. Tarbis patrzyła na namioty wyrastające po tamtej stronie wody i liczyła, ile z tego, co widzi, jest siłą, a ile pokazem siły, który ma zastąpić siłę tam, gdzie jej nie starcza.

Wojsko po tamtej stronie rzeki liczyło może siedem tysięcy. Rozbite namioty stały prosto, porządknie, z egipską dyscypliną znaną jej od ojca

jeszcze z dzieciństwa — że Egipcjanin przy obozie jest Egipcjaninem przy każdym obozie, tak samo schludnie, tak samo metodycznie, niezależnie od tego, ile tygodni przyjdzie mu stać w miejscu.

Ich dowódca — człowiek imieniem Mojżesz — jeszcze nie ruszył do szturm. Rozstawiał obóz tak, jak rozstawia się obóz, z którego nie zamierza się szybko odchodzić. To mówiło Tarbis więcej niż jakikolwiek atak: że po tamtej stronie stoi ktoś, kto rozumie, iż tego miasta nie bierze się z marszu, i kto jest gotów czekać.

Tarbis obserwowała go od pierwszego dnia z wysokości murów — postać niską przy rydwanie, ze skupieniem widocznym nawet z odległości, kiedy człowiek nie gestykuluje, nie krzyczy na oficerów, tylko stoi i patrzy na mury, które jeszcze nie wie, jak zdobyć.

Myśli, zanim uderzy. To osobliwość rzadka u dowódcy, i właśnie dlatego niebezpieczna — bo dowódca, który myśli, jest groźniejszy od dowódcy, który tylko atakuje.

Wieczorami, gdy armia rozpałała ogniska, schodziła z wieży i wracała do swojej komnaty, i liczyła. Zapasy. Studnie. Dni. I każdego wieczoru liczby dawały ten sam wynik: czas grał na korzyść tego, kto miał go więcej — a nikt jeszcze nie wiedział, kto to będzie.

Tarbis pamiętała, jak jej ojciec, król Kush, siadał z nią przy planszy do gry w seneta, kiedy miała osiem lat, i jak powiedział: przesuwasz pionek za wcześniej, dziecko. Zapytała, dlaczego uważa, że za wcześniej, a on odpowiedział pytaniem: czy wiesz już, co robi przeciwnik? Nie wiedziała. Powiedział jej wtedy zdanie, które nosiła przez całe życie jak amulet ukryty pod suknią, niewidoczny, ale zawsze przy skórze: nie musisz wiedzieć, co zrobi przeciwnik. Musisz wiedzieć, co możesz stracić, jeśli się mylisz, i ile możesz stracić, jeśli czekasz zbyt długo z ruchem.

Stała teraz na murach Saby, mając dwadzieścia cztery lata, i przesuwała ten sam rachunek przez głowę, tylko że pionkami nie były już drewniane figurki polerowane przez dworskiego rzemieślnika, lecz ludzie w mieście i żołnierze garnizonu, i brat gdzieś za horyzontem, który cofnął się na południe, by zebrać siły.

Jej ojciec umarł trzy lata wcześniej, zanim Egipt w ogóle ruszył przeciw Kush. Nie zobaczył, jak jego córka gra tę partię, która przewyższała wagą

wszystkie partie seneta, jakich ją uczył przy wieczornej lampie. Tarbis żałowała tego czasem — że nie mogła go zapytać, jaki ruch by pochwalił, a jakiego by się wstydził bardziej niż przegranej.

Za jej plecami, na schodach wieży, usłyszała kroki służącej, która przynosiła jej wodę o tej porze każdego ranka, odkąd Tarbis pamiętała.

— Znowu tu, pani — powiedziała starsza kobieta, nie pytaniem, tylko stwierdzeniem, jakim mówi się do kogoś, kogo zna się zbyt dobrze, by udawać zdziwienie.

— Gdzie indziej miałabym być.

— W łóżku, jak inne kobiety w twoim wieku, śpiące spokojnie, zamiast liczyć wrogów o świcie.

Tarbis nie odpowiedziała od razu, patrząc na obóz egipski budzący się w dole.

— Inne kobiety w moim wieku nie mają miasta, które zależy od tego, czy policzą dobrze — powiedziała w końcu. — Ja mam. Więc liczę.

Kenamon za rzeką

Brat Tarbis, Kenamon, król Kush, cofnął się po ostatniej potyczce na południe, żeby zbierać nowe siły.

Był człowiekiem zdolnym. Tarbis wiedziała to od dziecka — wiedziała, jak trudno go zaskoczyć, jak daleko myśli, jak cierpliwie czeka na właściwy moment. Ich ojciec uczył ich oboje tej samej dyscypliny myślenia, ale Kenamona nauczył więcej — bo Kenamon miał dziedziczyć koronę, a Tarbis miała wyjść za mąż.

Tarbis nie miała do ojca żalu o to rozróżnienie. Tak działał świat.

Wiedziała, że brat wróci — nie wiedziała tylko, czy zdąży. Między jego powrotem a wyczerpaniem zapasów miasta rozciągał się czas, którego nikt nie umiał policzyć na pewno, bo zależał od rzeczy, których żadna plansza seneta nie pokazuje: od pogody, od tego, ilu wodzów przyłączy się do Kenamona i jak szybko, od tego, czy Egipcjanin po drugiej stronie rzeki jest cierpliwy, czy tylko udaje cierpliwość.

Mój brat wróci, myślała Tarbis, i zastanie miasto, które wytrzymało, albo miasto, które padło. A ja stoję pośrodku tych dwóch możliwości i nie wiem jeszcze, która się ziści.

I myślała, patrząc na ogniska Egipcjan: co ten człowiek robi jutro? A pojutrze? Bo od tego, co robi, zależy wszystko — a ona nie umiała go jeszcze rozgryźć, i to niepokoiło ją bardziej niż sama armia.

Mojżesz o świcie

Po drugiej stronie rzeki Mojżesz stał o świcie przy rydwanie i patrzył na mury Saby, próbując znaleźć w nich miejsce, którego jeszcze nie znalazł.

Cztery linie wody — dwie rzeki i Nil, rozdzielony na ramiona — otaczały miasto tak, że każde podejście prowadziło przez most albo przez bród, a każdy most i każdy bród był widoczny z murów i osłonięty lukami. Mojżesz oglądał tę geografę od pierwszego dnia i po pierwszym dniu wiedział jedno: że nie ma tu miejsca, w którym pięciuset zbrojnych mogłoby przejść po cichu, nie będąc zastrzelonymi z góry.

To nie znaczyło, że miasto jest nie do wzięcia. Znaczyło, że nie da się go wziąć tak, jak bierze się miasta budowane byle jak — z marszu, jednym uderzeniem, przewagą liczby. Sabę zbudowali ludzie, którzy myśleli o dniu oblężenia, gdy kładli pierwsze kamienie. Żeby ją pokonać, trzeba było myśleć równie daleko.

Ahmoze, jego najlepszy oficer i jedyny człowiek w obozie, przy którym Mojżesz mówił głośno to, czego nie mówił radzie, podszedł i stanął obok, patrząc na to samo.

— Ludzie pytają, kiedy szturm — powiedział.

— Ludzie zawsze pytają, kiedy szturm — odparł Mojżesz. — Bo szturm jest prosty. Idziesz, giniesz albo zwyciężasz, i wieczorem wiesz. Czekanie jest trudniejsze, bo w czekaniu nie wiadomo, czy się wygrywa, czy przegrywa, aż do samego końca.

— Więc czekamy.

Mojżesz nie odpowiedział od razu. Patrzył na wschodnią wieżę, gdzie — jak co rano — stała sylwetka, ta sama, w tym samym miejscu, w którym wczoraj o tej porze też stała.

Kobieta, która patrzyła na jego obóz tak, jak on patrzył na jej mury.

Mojżesz, który przez siedem lat nauki w Per-Ankh uczył się czytać ka — energię istnienia — widział z odległości coś, czego nie umiał opisać dokładnymi słowami: że ta kobieta na murze ma ka inne niż garnizon, inne niż miasto, inne niż ludzie oblężeni, którzy tylko czekają na ratunek. Jej ka było napięte tak, jak napięte jest coś, co liczy — nie modli się, nie rozpacza, lecz liczy, tak samo jak on.

Bo to była pierwsza kampania, w której wróg po drugiej stronie muru miał twarz, którą zapamiętywał, a nie tylko liczbę, jaką raportował do Memfis co tydzień przez posłańca.

— Czekamy — powiedział w końcu. — Ale nie bezczynnie. Miasto, którego nie można wziąć siłą, ma zawsze drugie słabe miejsce, tyle że nie w murach. Trzeba je tylko znaleźć, zanim brat tej kobiety wróci z odsieczą.

— A jeśli wróci pierwszy?

Mojżesz patrzył na mury, na wodę, na sylwetkę na wieży, która właśnie odwróciła się i zniknęła w głębi, jak co rano o tej porze.

— Wtedy — powiedział — będziemy się bić o coś, czego nie zdążyliśmy przechytryć. A ja wolę przechytryć, niż się bić. Bić się umie każdy głupiec z mieczem. Wygrać, nie tracąc tysiąca ludzi na moście, który i tak nie ustąpi — to jest sztuka, której mnie nie uczono, bo nikt jej nie umie nauczyć. Trzeba jej dojść samemu.

Odwrócił się od murów i ruszył w stronę obozu, gdzie budził się dzień, a z nim wszystkie decyzje, których jeszcze nie podjął.

Co się między nimi rozegra — między człowiekiem po jednej stronie wody a kobietą po drugiej, między cierpliwością oblegającego a rachunkiem oblężonej — tego tamtego ranka nie wiedział ani on, ani ona. Wiedzieli tylko oboje to samo: że gra się zaczęła, że przeciwnik jest godny i że pierwszy błąd będzie ostatnim.

Koniec prologu



ROZDZIAŁ I — Saba

Miasto-wyspa — oblężenie, które nic nie daje

Miasto, które nie chce się poddać przez geografę

Saba była niedobra do zdobycia, i to nie przez liczbę obrońców, ale przez położenie, które żaden generał nie mógł zmienić siłą woli.

Nil otaczał ją z zachodu i z południa. Rzeka Astapus ze wschodu. Rzeka Astaboras z północy. Pomiędzy tymi czterema wodami — miasto, jak klejnot w oprawie z prądów.

Dwa mosty prowadziły do miasta — jeden na zachód, drugi na południe, oba przez Nil, który obejmował miasto z tych dwóch stron — podnoszone, z mechanizmami, jakich Egipt nie widział, bo wynalazek mostów podnoszonych Kush trzymał dla siebie przez stulecia.

Gdy armia Mojżesza dotarła pod miasto, mosty były już podniesione.

Etiopczycy stali na murach i patrzyli na Egipcjan stojących przy wodzie. Nie krzyczeli, nie śmiali się — stali spokojnie, jak stoją ludzie, którzy są za wodą i wiedzą, że woda jest po ich stronie.

Kenamon nie był w mieście — wycofał się dalej na południe po ostatniej potyczce, zostawiając Sabie garnizon, rezerwy żywności i wody, a sam poszedł zbierać nowe siły, czekając, aż Egipcjanie zmęczą się oblężeniem, które nic nie daje.

Mojżesz wiedział o tym planie, bo sam by go zastosował, gdyby stał po drugiej stronie wody.

W mieście — strach inny od strachu na polu bitwy

W Sabie, za murami, mieszkańcy żyli inaczej niż żołnierze na zewnątrz — strachem cichym, przewlekłym, strachem tych, którzy nie walczą, tylko czekają, aż walka przyjdzie do nich albo ich ominie.

Stara kobieta imieniem Mais, która pamiętała poprzednie oblężenie, dwadzieścia lat wcześniej, mówiła sąsiadkom przy studni:

— Pierwsze tygodnie są najgorsze. Człowiek czeka na atak każdej nocy. Potem, jeśli atak nie przychodzi, przychodzi inny strach — że jedzenie się skończy, że woda w studniach spadnie, że dzieci zaczną chorować od głodu szybciej niż dorośli od strachu.

Garnizon etiopski w mieście, choć dobrze zaopatrzony, nie był z żelaza — żołnierze, podobnie jak mieszkańcy, czekali, i czekanie psuje dyscyplinę szybciej niż walka.

Którejś nocy, w pierwszych tygodniach oblężenia, dwaj żołnierze garnizonu upili się piwem ukradzionym z zapasów dla rannych. Wszczęli bójkę przy świątyni. Jeden pchnął drugiego nożem — niegłęboko, ale dość, by rano dowódca ukarał obu chłostą przed całym oddziałem. Przypomnienie, że oblężenie nie zwalnia z dyscypliny, choćby nuda i strach mówiły inaczej.

Pierwszy szturm

Rada oficerów chciała szturmu. Nie dlatego, że wierzyła w powodzenie — dlatego, że armia, która stoi za długo przy wodzie i patrzy na mury, zaczyna gnić od środka, zanim zgnije od miecza.

— Ludzie pytają, po co przyszli — powiedział Ahmose tej nocy, przy ogniu, głosem żołnierza, który zna swoje oddziały lepiej niż mapy. — Jeśli nie dasz im czegoś do zrobienia, sami znajdą sobie zajęcie, a nudzący się żołnierz to gorszy wróg niż Etiopczyk za rzeką.

Mojżesz patrzył na zachodni most — jedyny, którego mechanizm zwiadowcy zdołali podejrzeć: podnoszony, ale opuszczany od wewnątrz, i jeśli oddział zdołałby dotrzeć do przeciwnego przyczółka i utrzymać go, most można było zablokować, zanim Etiopczycy zdążą go podnieść z powrotem.

Rozkaz był prosty. Rozkazy zawsze są proste. To ludzie, którzy je wykonują, są skomplikowani.

Poszła setka. Na czele Paheri — trzydziestoletni żołnierz z Abydos, który przed wojną był garncarzem i wciąż miał na palcach blizny od pieca, i który zgłosił się na ochotnika, bo za każdego ochotnika w pierwszym szeregu obiecano podwójny żołd dla rodziny.

— Głupota — powiedział mu Wenamon, jego towarzysz od trzech kampanii, kiedy zapinali skórznie w szarości przed świtem. — Podwójny żołd na nic ci się nie zda, jak cię zdejmą z mostu strzałą.

— Dla mnie na nic. Dla Iput i dzieciaków — na dużo. — Paheri splunął w dłoń, chwycił drzewce tarczy. — A ty czego tu, jak taki mądry?

Wenamon nie odpowiedział, bo prawdziwa odpowiedź — że nie umiałby patrzeć, jak przyjaciel idzie sam — była z tych, których żołnierze nie mówią głośno przed bitwą.

Ruszyli o świcie, kiedy słońce było jeszcze za murami i oślepiąło obrońców, nie atakujących. Pierwsze trzydzieści kroków po moście — cisza. Tylko łomot własnych stóp o drewno i własnych serc o żebra.

Potem mury się obudziły.

Pierwsza salwa strzał nie brzmi jak świst, którego człowiek się spodziewa. Brzmi jak deszcz uderzający w dach — nagły, gęsty, wszędzie naraz. Trzej z pierwszego szeregu padli, zanim ktokolwiek zdążył krzyknąć. Jeden z nich, chłopak imieniem Djau, którego nikt nie znał dobrze, bo dołączył do oddziału dopiero pod Sabą, osunął się na kolana ze strzałą w gardle i klęczał tak przez chwilę, jakby się modlił, zanim runął w bok, do wody.

— Tarcze w górę! — ryknął Paheri. — Do przodu, nie stać, stać to śmierć!

Szli. Człowiek idzie nawet wtedy, kiedy rozum każe uciekać — idzie, bo obok idą inni, i wstyd jest silniejszy od strachu, dopóki nie zobaczy się, jak wstyd i strach wyglądają tak samo, kiedy leżą na deskach mostu i już się nie ruszają.

Do przyczółka dotarła połowa setki. Wsparli tarcze o mur, pchnęli w bramę mostu — i wtedy z góry, z otworów, których zwiadowcy nie zauważyli, połała się smoła, gorąca, nie wrząca, ale wystarczająco gorąca, by człowiek w skórni krzyczał głosem, którego się potem nie zapomina.

Wenamon zobaczył, jak Paheri pada — nie od smoły, od strzały, która weszła pod pachą tam, gdzie pancerz się rozstępuje przy uniesionym ramieniu. Garncarz z Abydos usiadł na deskach, oparty o bramę, której nie zdołał otworzyć, i patrzył na drzewce sterczące mu z boku z wyrazem raczej zdziwienia niż bólu.

— Iput — powiedział. Tylko tyle. Imię żony, jakby ją wołał z drugiego pokoju, nie z drugiego brzegu śmierci.

Wenamon chwycił go za pas, ciągnął w tył, ale człowiek na wpół martwy waży więcej niż żywy, a strzały padały dalej, i w końcu inny żołnierz krzyknął mu w ucho to, co obaj wiedzieli:

— On już nie idzie! Zostaw go, bo zostaniemy obaj!

Zostawił. To jest rzecz, której się nie wybaczają sobie do końca życia — nie to, że przyjaciel zginął, ale że się go zostawiło na deskach, żeby samemu wrócić.

Trąbka zagrała odwrót. Wrócili przez most, po którym szli pełni, teraz przeredzeni, potykając się o własnych zabitych, bo most był za wąski, żeby ich ominąć, i żywi deptali martwych, żeby nie dołączyć do nich.

Wrócił trzydziesty ósmy z setki. Reszta została na moście albo w wodzie, którą Nil unosił na północ powoli, obojętnie, jak rzeka unosi wszystko.

Rachunek po pierwszym szturmie

Mojżesz stał na wzniesieniu i patrzył, jak wracają. Liczył. Dowódca zawsze liczy — najpierw dlatego, że musi wiedzieć, ile zostało siły; potem, w nocy, dlatego, że liczby nie dają zasnąć.

Sześćdziesięciu dwóch. Nie „straty”, nie „koszt operacji” — sześćdziesięciu dwóch ludzi, z których każdy miał imię, choć on znał zaledwie kilka.

Ahmośe podszedł, stanął obok, nie mówił długo, bo nie było czego mówić, co nie brzmiałoby fałszywie.

— Most był nie do wzięcia — powiedział w końcu. — Wiedziałeś to, zanim poszli.

— Podejrzywałem. Nie wiedziałem. — Mojżesz nie odrywał wzroku od wody. — A żeby wiedzieć na pewno, musiało zginąć sześćdziesięciu dwóch.

— Taka jest wojna.

— Tak mówią wszyscy, którzy nie idą pierwszym szeregiem. — Powiedział to bez gniewu, co było gorsze niż gniew. — Był tam garncarz. Paheri. Zgłosił się na ochotnika dla podwójnego żołdu. Wiesz, co to znaczy, Ahmose? Że umarł nie za Egipt, nie za mnie, nie za żadną chwałę. Umarł, żeby jego dzieci zjadły więcej chleba. I dostaną ten chleb, bo dopilnuję, żeby dostały. Ale on nie zobaczy, jak jedzą.

Wieczorem przyszedł Wenamon — sam się zgłosił, choć zwykły żołnierz nie przychodzi do Wielkiego Dowódcy bez wezwania. Stał w wejściu namiotu, z tą sztywnością człowieka, który postanowił coś powiedzieć i boi się, że jak nie powie od razu, to się rozmyśli.

— Panie. Paheri został na moście. Ja go zostawiłem. — Głos mu nie drżał, i właśnie to, że nie drżał, mówiło, ile go to kosztuje. — Chciałem, żebyś wiedział, że miał rodzinę. Iput. Troje dzieci. Obiecano mu podwójny żołd.

— Dostaną potrójny — powiedział Mojżesz. — I zapiszę jego imię, żeby nie przepadło. Jak się nazywał w pełni?

— Paheri, syn Nebseniego, z Abydos. — Wenamon przełknął. — Zostawiłem go, panie. Żywego jeszcze, może. Zostawiłem.

Mojżesz spojrzał na niego — nie jak dowódca na żołnierza, ale jak człowiek, który nosi ten sam ciężar, tylko cięższy o wszystkich pozostałych.

— Ja go tam posłałem — powiedział. — Ty go tylko nie zdołałeś wynieść. Jeśli ktoś ma nie spać z tego powodu, żołnierzu, to nie ty. Wracaj do swoich. I żyj, bo martwych już mam dość na dziś.

Wenamon wyszedł. Mojżesz został z listą, na której dopisywał imię, a potem drugie, a potem tyle, ile zdołał ustalić przez noc — bo postanowił, że jeśli nie umiał ich uratować, to przynajmniej nie pozwoli, żeby zniknęli jako liczba.

Rankiem lista miała czterdzieści jeden imion. Dwudziestu jeden pozostało bezimiennych, i to też zapisał — nie jako „nieznani”, ale jako *dwudziestu jeden, których imion nie zdążyłem poznać* — bo różnica między tymi słowami była dla niego różnicą między księgowością a żałobą.

Setnik garnizonu

Dowódcą garnizonu w Sabie był setnik imieniem Sabaku, czterdziestoletni weteran, który służył pod ojcem Kenamona jeszcze przed urodzeniem Tarbis i który traktował obronę miasta jako osobisty dług wobec dynastii, której służył przez całe dorosłe życie.

W którymś z tych ciągnących się tygodni oblężenia przyszła do jego kwatery wiadomość, której się nie spodziewał: Tarbis, w towarzystwie Menkhafa, swojego strażnika, zjawiła się wieczorem, bez zapowiedzi.

Menkhaf wypełniał sobą całe wejście — wielki jak brama, o wadze byka, choć oblężenie zaczęło już podjadać ten sławny brzuch, z którego dumny był bardziej niż z niejednej blizny. Szedł za Tarbis, odkąd wyruszyła bronić Saby, tak jak chodził za nią wszędzie: bo — jak twierdził, i to głośno — największy wojownik, jaki kiedykolwiek nosił włócznię w gwardii króla Kush, nie może pozwolić, żeby księżniczki pilnował byle kto. Co do dokładnej liczby wrogów, których w życiu pokonał, zdania bywały różne; najczęściej różniły się między sobą kolejne wersje samego Menkhafa.

— Chcę widzieć zapasy żywności — powiedziała, bez wstępu.

Sabaku zawahał się.

— Księżniczko, to nie jest sprawa, która...

— Jest moją sprawą — przerwała Tarbis, z tą stałą w głosie, która zaskakiwała ludzi nieprzywykłych do niej. — Jestem w tym mieście jak wszyscy inni. Jem to samo jedzenie, choć moja porcja jest większa niż porcja sześciolatka, czego się wstydę bardziej, niż mogę powiedzieć głośno. Mam prawo wiedzieć, jak długo możemy wytrzymać.

Sabaku, po chwili wahania, zaprowadził ją do spichlerzy, gdzie liczby, wypisane na tabliczkach przez intendenta, mówiły jasno, że dwa miesiące były szacunkiem optymistycznym, nie pewnym.

— Sześć tygodni, jeśli nic się nie zmieni — powiedział Sabaku, kiedy wyszli ze spichlerza. — Może osiem, jeśli zmniejszymy racje jeszcze bardziej.

— A jeśli zmniejszymy racje jeszcze bardziej, dzieci zaczną umierać przed żołnierzami.

— Tak, księżniczko.

Menkhaf, który przez całą drogę do spichlerza milczał — objaw u niego równie rzadki jak śnieg nad Nilem i równie niepokojący — omiotł wzrokiem półki, coraz bardziej puste, im dalej sięgał.

— Wiesz, księżniczko, ile ja bym tego zjadł w lepszych czasach? — mruknął. — Całą tę półkę, i poprosiłbym o dokładkę. Raz pod Meroe objadłem obłożony garnizon tak, że poddał się z głodu wcześniej ode mnie. — Zaraz jednak spowaźniał, wielką, niezgrabną powagą człowieka, który robi to rzadko. — A teraz stoję i liczę worki jak ty. To jest najgorsze, co obłożenie robi człowiekowi: uczy nawet mnie liczyć jedzenie, zamiast je jeść.

— Widziałam, że oddajesz swoją porcję wartownikom — powiedziała Tarbis cicho.

— Wielki wojownik może pościć — wzruszył ramionami, aż zaskrzypiała skóra pancerza. — Ale ty też oddajesz swoją, księżniczko, i ludzie to widzą. A jak widzą, to każdy wstydy się jeść — a wstyd nie napełnia brzucha, tylko go skręca. Jedz swoje. Nie dla siebie. Dla nich. Głodny dowódca to zły dowódca, a ja już drugiego głodnego w tym mieście na sumieniu mieć nie chcę.

Tarbis stała przez chwilę, patrząc na miasto wokół siebie, na dachy domów, gdzie rodziny gotowały to, co miały, nieświadome jeszcze pełnej wagi liczb, które właśnie usłyszała.

— Dziękuję za szczerość — powiedziała w końcu. — Większość ludzi na twojej pozycji powiedziałaby mi to, co chcę usłyszeć, nie to, co jest prawdą.

— Twój ojciec uczył mnie, że żołnierz, który okłamuje swojego dowódcę z litości, jest żołnierzem, który zabija go z miłości — powiedział Sabaku. — Nie mogłem cię okłamać, nawet gdybym chciał oszczędzić ci ciężaru tych liczb.

Tarbis kiwnęła głową i odeszła, niosąc ten ciężar przez resztę wieczoru, aż do chwili, gdy usiadła sama w swojej komnacie i zaczęła liczyć — nie zapasy, ale czas. Czas, jaki jej został, żeby znaleźć wyjście, zanim liczby Sabaku staną się nieodwracalne.

Powrót bez tłumów

Ramzes wracał do Memfis jako zwycięzca — i nikt na niego nie czekał.

Kampania na zachodzie skończyła się tak, jak kończyły się jego kampanie: czysto, sprawnie, bez błędu. Libijskie plemiona, które od pokoleń szarpały granicę Deltę, dostały nauczkę, po której miały milczeć przez następne. Wracał z łupem, z jeńcami, z reliefem, który już zamawiał w głowie. A ulice Memfis, którymi jechał, były prawie puste.

Nie całkiem — bo miasto nigdy nie jest puste. Ale ci, których mijał, zbijali się w grupki nie po to, by patrzeć na niego, lecz by wymieniać się tym, co przywieźli kupcy i posłańcy z południa: że Saba jeszcze się trzyma, że znajda próbował tamy, że mówią, iż weźmie miasto przed wylewem. O jego wojnie nie mówił nikt. Libia była daleko. Libia była zawsze.

Dopiero przed pałacem wyszedł mu naprzeciw orszak — mały, odmierzony co do osoby, jak wszystko na tym dworze: jego matka Tuja, dwie z jego żon, garść urzędników, którym pozycja kazała się pokazać, i stary Seti, wsparty na ramieniu sługi, obecny bardziej wolą niż siłą. Powitanie było poprawne. Każde słowo na swoim miejscu, każdy ukłon odmierzony. I właśnie ta poprawność powiedziała Ramzesowi więcej niż jakikolwiek tłum: że wraca do domu, w którym go szanują — a serce miasta bije gdzie indziej, wiele dni drogi na południe, przy człowieku, którego nawet tu jeszcze nie ma.

Ramzes umiał czytać puste ulice tak, jak ojciec uczył go czytać puste pole po bitwie. I to, co przeczytał tego dnia, nie dało mu spać.

Ostrze faraona

Znalazł matkę wieczorem — samą, nad planszą do seneta, po której przesuwiała pionki bez przeciwnika, jak zawsze, gdy myślała.

— Wygrałem wojnę — powiedział, siadając naprzeciw. — Prawdziwą wojnę, nie potyczkę. A jechałem przez miasto, które patrzyło przeze mnie na wylot, wypatrując kogoś innego. Dlaczego czekają na niego, matko, a nie na mnie?

Tuja nie podniosła wzroku znad planszy. — Bo ty wygrałeś wojnę, której się nie bali — powiedziała. — Libia jest daleko. Garncarz z Memfis nigdy nie widział Libijczyka i nigdy nie zobaczy. A znajda odepchnął włócznie wymierzoną w to miasto — w tę ulicę, w ten dom. Kush stał nad Egiptem, ludzie liczyli noce do chwili, gdy zobaczą go pod murami. On do tego nie

dopuścił. — Przesunęła pionek. — Lud nie kocha ręki, która zdobywa chwałę o miesiąc drogi stąd. Lud kocha rękę, która wyjmuje nóż z jego własnego gardła. To nie jest niesprawiedliwość, synu. To arytmetyka strachu.

— Więc jest niebezpieczny — powiedział Ramzes. — Wróci z Saby w wianku wybawcy, kochany bardziej niż którykolwiek książę krwi. Im większy zrobi się w oczach ludu, tym mniejszy zrobię się ja. Trzeba go usunąć, zanim urośnie ponad miarę.

Dopiero wtedy na niego spojrzęła, i był w tym spojrzeniu cień zawodu, jaki matka okazuje synowi, który powiedział coś poniżej siebie.

— Głupiec łamie swój najlepszy nóż dlatego, że raz się nim skaleczył — powiedziała. — Posłuchaj mnie, bo powiem to raz. Mojżesz nie jest rywalem, którego się usuwa. Mojżesz jest narzędziem — najostrzejszym, jakie Egipt ma teraz w ręku. Narzędzia się nie kocha i nie nienawidzi. Narzędzia się używa. A najostrzejszego ostrza nie wyrzuca się dlatego, że jest ostre. Chowa się je na twardą rzecz, którą trzeba będzie przeciąć.

— A Egipt — ciągnęła — zawsze ma następną twardą rzecz. Zawsze jest kolejny wróg na granicy, kolejne miasto nie do wzięcia, kolejna wojna, w której zginie tylu ludzi, że lepiej, by ginęli pod cudzym imieniem niż pod twoim. Poślij go tam. Niech tnie za ciebie. Każde jego zwycięstwo będzie twoim, bo to ty będziesz faraonem, który go posłał.

Ramzes milczał, bo zaczynał rozumieć — a zrozumienie było zimniejsze niż wszystko, co sam zdążył wymyślić.

— Ale każde ostrze się tępi — powiedziała Tuja ciszej, jakby to była najczulsza część rozmowy. — A ostrze przyłożone do rzeczy dostatecznie twardej wcale się nie tępi. Ono pęka. Rzecz w tym, synu, żeby wybrać dla niego cel dość wielki, by Egipt zyskał na jego cięciu — i dość twardy, by tego cięcia nie przeżył. Wtedy nie będziesz musiał go usuwać. Zużyje się sam, robiąc to, do czego go stworzyliśmy. I nikt — ani lud, ani bogowie, ani on sam — nie nazwie tego morderstwem. Nazwą to wojną.

Na planszy przesunęła ostatni pionek na pole, z którego nie było już odwrotu.

— Nie zabija się narzędzia — powiedziała. — Wydaje się je.

Tratwy

Tratwy z drewna palmowego, wiązane w pośpiechu przez trzy dni, miały przejść rzekę nocą, cicho, z zawiniętymi w szmaty wiosłami, i wysadzić ludzi pod wschodnim murem, gdzie brzeg był płaski i można było przystawić drabiny.

Na jednej z nich, przykucnięty w ciemności, siedział Ineni — osiemnastoletni, z Fajum, syn rybaka, w wojsku od trzech miesięcy i pod murami po raz pierwszy naprawdę. Ręce trzęsły mu się na drzewcu włóczni tak, że sąsiad musiał to zauważyć.

Sąsiadem był Sennedjem — czterdziestoletni, twarz jak wyprawiona skóra, weteran, który pamiętał kampanie, o których Ineni tylko słyszał przy ogniskach.

— Pierwszy raz? — zapytał Sennedjem cicho, nie odwracając głowy od czarnej linii muru przed nimi.

— Widać?

— Po rękach. — Weteran splunął za burtę. — Trzymaj włócznię luźniej. Zaciśnięta dłoń męczy się szybciej i drży bardziej. Nauczysz się.

— Zabiłeś już kogoś? — Ineni zadał to pytanie ciszej niż resztę, jakby się wstydził, że musi pytać.

Sennedjem milczał chwilę, tak długo, że chłopak myślał, że nie dostanie odpowiedzi.

— Tyłu, że przestałem liczyć, i to jest gorsze, niż gdybym pamiętał każdego. — Popatrzył wreszcie na chłopaka. — Ty jeszcze nie. Poznaję to po tobie tak samo jak po rękach. Nie spiesz się z tym. Kiedy przyjdzie, przyjdzie. A jak dziś nie musisz — to nie musisz. Nie ma chwały w zabiciu człowieka, którego nie trzeba było zabijać. Jest tylko cień, który potem chodzi za tobą.

— Mój ojciec mówił, żebym wracał — powiedział Ineni, bardziej do ciemności niż do towarzysza. — Matka nic nie mówiła. Tylko patrzyła. Wiesz, jak matki patrzą.

— Wiem. — Sennedjem miał żonę w Memfis i dwie córki, których imion nie wymieniał przy obcych, bo imiona wypowiedziane głośno przed bitwą to jak zaproszenie dla bogów, żeby zwrócili uwagę. — Dlatego wracaj. Trzymaj

się mnie, rób, co ja, i nie bądź bohaterem. Bohaterowie mają ładne pogrzeby i wdowy, które płaczą krótko, bo muszą żyć dalej.

Tratwy sunęły przez wodę. Trzydzieści kroków. Dwadzieścia. Cisza była tak gęsta, że Ineni słyszał własne zęby.

Potem na murze zapłonęła pochodnia. Jedna, druga, i głos krzyknął coś po etiopsku, i noc pękła.

Pierwsze strzały zaszumiały nad wodą. Człowiek na sąsiedniej tratwie osunął się bez dźwięku, jakby ktoś przeciął sznur, który trzymał go prosto.

— W dół! Tarcze nad głowy! — Sennedjem szarpnął chłopaka za kark, przygniatając go do mokrego drewna. — Nie podnoś się, cokolwiek usłyszysz.

Ale Egipcjanie nie byli bezbronni. Na tyłach tratw płynęły osobne, mniejsze, z łucznikami, których Mojżesz ustawił właśnie na tę chwilę. I kiedy Etiopczycy wychylili się zza blanków, żeby strzelać w dół, sami weszli w światło własnych pochodni.

— Teraz oni! — krzyknął ktoś z łuczniczej tratwy. — W pochodnie celuj, gdzie światło, tam głowa!

Egipski łucznik imieniem Hori, spokojny człowiek, który przed wojną polował na kaczki w delcie i miał oko, jakiego nie ma jeden na stu, wypuścił trzy strzały tak szybko, że brzmiały jak jedna. Dwaj obrońcy spadli z muru — jeden do wewnątrz, jeden w wodę, z pluskiem, który w tej ciemności zabrzmiał głośniej niż powinien. Trzeci osunął się na blankach, zwisając bezwładnie.

— Trafiłem — powiedział Hori, bez radości, bez triumfu, tym samym głosem, jakim mówił o kaczce. — Trzech.

Przez krótką chwilę wyglądało, że to coś zmieni — że jeśli Egipcjanie zdejmą dość obrońców, tratwy dopłyną. Ineni, przyciśnięty do desek, poczuł coś, czego się nie spodziewał: nie tylko strach, ale iskrę czegoś dzikszego, nadziei zmieszanej z gniewem, i uniósł głowę mimo ostrzeżenia Sennedjema.

— Mówiłem: w dół! — Weteran przygniótł go znowu, akurat gdy strzała wbiła się w drewno tam, gdzie przed sekundą była głowa chłopaka. — Widziałeś? Widziałeś, gdzie to weszło? Tam byłaby twoja twarz. Bohaterowie, chłopcze. Ładne pogrzeby.

Ale obrońców było za wielu, a woda za szeroka. Za każdego, którego zdjął Hori, na murze pojawiała się dwóch nowych. Tratwy, ciężkie i powolne, stały się celami, o jakich łucznik marzy. Wiązania puszczały tam, gdzie strzały rozłupywały drewno.

Trąbka zagrała odwrót po raz drugi w tej kampanii. Zawrócili, ci, co mogli. Tratwa Ineniego dopłynęła do brzegu z trzema ludźmi mniej, niż odbiła.

Na piasku chłopak wymiotował, na klęczkach, a Sennedjem stał nad nim i czekał cierpliwie, aż tamten skończy.

— To normalne — powiedział, kiedy Ineni wreszcie podniósł głowę. — Pierwsza noc, kiedy widzisz, jak umierają obok. Ciało chce to z siebie wyrzucić. Dobre ciało. Głupie to, które się nie boi.

— Ci ludzie... ci na sąsiedniej tratwie...

— Nie myśl o nich dziś. Jutro pomyśl, jak będzie widno i jak będziesz żywy. Dziś tylko oddychaj. — Weteran podał mu bukłak. — I dziękuj, komu chcesz, że Mojżesz zagrał odwrót w porę. Inny dowódca kazałby płynąć dalej dla dumy. Ten liczy ludzi, nie chwałę. Pod byle kim już byś nie oddychał.

Dziesięciu rannych, czterech zabitych. Ale trzej obrońcy Horiego — to była pierwsza krew, jaką Saba zapłaciła za swoje mury, i wśród Egipcjan tej nocy imię Horiego wymawiano z czymś w rodzaju otuchy, bo człowiek potrzebuje wierzyć, że wróg za wodą też jest śmiertelny.

Głód, który przychodzi powoli

W miarę jak oblężenie się wlokło, przyszło to, przed czym stara Mais ostrzegała sąsiadki przy studni — nie atak, ale liczenie.

Zboże w spichlerzach miasta było wystarczające na dwa miesiące przy normalnym racjonowaniu, ale dowódca garnizonu, widząc, że Egipcjanie nie odchodzą, zmniejszył racje o jedną czwartą, potem o jedną trzecią — matematyką, która nie pyta o uczucia, tylko o to, ile dni można wycisnąć z tego, co jest.

Dzieci pierwsze poczuły różnicę.

Mais, która miała wnuka, sześciolatniego chłopca o imieniu Bek, widziała, jak traci tę pulchność, którą miał na początku oblężenia, jak jego śmiech staje się rzadszy — nie ze strachu; głodne dzieci śmieją się mniej niż najedzone.

— Babciu — powiedział jej Bek pewnego wieczoru — kiedy Egipcjanie odejdą?

— Nie wiem, dziecko.

— A jeśli nie odejdą?

Mais nie miała na to odpowiedzi, którą mogłaby dać sześciolatkowi bez okradania go z tej resztki spokoju, jaką jeszcze miał, więc powiedziała tylko:

— Wtedy będziemy silni dłużej, niż myślimy, że możemy być. Ludzie zawsze są.

Bek przyjął to z łatwowiernością dzieci, które wierzą dorosłym, dopóki świat nie nauczy ich nie wierzyć, i Mais, patrząc na niego, modliła się po raz pierwszy od lat do bogów, w których nie była pewna, czy nadal wierzy, żeby to oblężenie skończyło się, zanim głód zrobi to, czego strzały Egipcjan jeszcze nie zrobiły.

Łodzie

Kilka nocy później — nie tratwy, lecz łodzie. Prawdziwe, zwrotne, zdobyte od nadrzecznych wiosek, węższe, szybsze, mające prześliznąć się tam, gdzie ociężałe tratwy zawiodły. Plan był lepszy. Plan zwykle jest lepszy, dopóki woda nie ma zdania.

Sennedjem znów płynął, i znów wziął Ineniego pod skrzydło, bo tak się porobiło między nimi po tamtej nocy — bez umowy, bez słów, po prostu weteran i chłopak, których jedna przegrana związała mocniej niż rok wspólnej służby.

— Widzisz? — Sennedjem pokazał wiosłem. — Łódź robi swoje w minutę, gdzie tratwa pełza kwadrans. Może się uda.

— Wierzysz, że się uda?

Weteran zaśmiał się cicho, bez wesołości.

— Nie. Ale wierzę w tego, kto to zaplanował, i to czasem wystarcza za wiarę w plan. Widziałeś, co on zrobił przy przełęczu nad Buhen? Zszedł z trzystu ludźmi tam, gdzie Kush spodziewał się trzech tysięcy, i wygrał, bo

poszedł nie tam, gdzie było mądrze, tylko tam, gdzie było niemożliwe. Człowiek, który raz zobaczy coś takiego, płynie potem za takim dowódcą nawet w noc jak ta.

Wśród wioślarzy był też Paser, kuzyn Sennedjema, gadatliwy tam, gdzie weteran milczał.

— A ja słyszałem — wtrącił Paser, wiosłując — że pod Napatą zawrócił rzekę. Że kazał kopać kanał przez noc i rano woda płynęła inaczej, i wróg obudził się z brodem tam, gdzie wieczorem była głębia.

— Bajki obozowe — mruknął Sennedjem. — Rzeki nie zawraca człowiek. Ale prawda jest lepsza od bajki: on nie zawrócił rzeki. On zauważył, że woda opada o świcie, i czekał trzy dni na tę jedną godzinę. To trudniejsze niż cud. Cud przychodzi sam. Cierpliwość trzeba mieć.

— Ja tam wolę wierzyć w rzekę — powiedział Paser. — Ładniej się opowiada dzieciom.

— Będziesz miał dzieci, to opowiesz — rzucił Sennedjem. — Wiosłuj.

Łodzie wyszły dobrze. Pierwsze dotarły pod mur, zanim pochodnie zdążyły się na dobre rozpalić, i po raz pierwszy tej kampanii drabina oparła się o kamień Saby.

Ineni wspiął się trzeci. Serce waliło mu w gardle, ale ręce — ku własnemu zdumieniu — nie drżały już tak jak na tratwie. Nad krawędzią muru zobaczył twarz: obrońca, młody, może w jego wieku, z włócznią uniesioną do pchnięcia. I była to pierwsza chwila w życiu Ineniego, kiedy między nim a śmiercią drugiego człowieka stała tylko szybkość jego własnej ręki.

Zawahał się. Pół sekundy. I to pół sekundy wystarczyłoby, gdyby nie Sennedjem, który wspiął się obok i pchnął pierwszy, krótko, bez wahania, i obrońca zniknął za murem.

— Później sobie podziękujesz, że to nie ty — warknął weteran, ciągnąc chłopaka na blanki. — Idź!

Byli na murze. Przez oddech, przez dwa, wyglądało, że niemożliwe stało się możliwe. Ale Saba obudziła się cała, i z wnętrza miasta nadbiegli obrońcy, których było dziesięciu na każdego Egipcjanina, który wszedł.

Paser zginął na murze — nie od włóczni, od kamienia zrzuconego z wieży, który trafił go w hełm z dźwiękiem, jakiego Ineni nie zapomniał do końca

życia. Gadatliwy kuzyn, który wolał wierzyć w zawróconą rzekę, zsunął się z blanków bez jednego słowa więcej.

Sennedjem nie krzyknął. Weterani nie krzyczą, kiedy giną ich bliscy w bitwie — na to jest czas później, w ciemności, kiedy nikt nie patrzy. Chwycił tylko Ineniego i zepchnął go z muru w stronę drabiny.

— Schodź! Rozkaz odwrotu zaraz padnie, a ja nie będę drugi raz mówił matce, że jej syn był bohaterem!

Zeszli. Trąbka zagrała, jak Sennedjem przewidział. Łodzie odbiły od muru, przeredzone, wioząc tylu rannych, że wolne miejsca zostały tylko po zabitych.

Na brzegu Ineni siedział długo, patrząc w wodę.

— Zawahałem się — powiedział wreszcie. — Tam, na murze. Nie mogłem. On był w moim wieku.

— Wiem. Widziałem. — Sennedjem usiadł obok, ciężko. — I dlatego żyjesz, że ja się nie wahałem. Ale posłuchaj mnie, chłopcze, bo powiem ci raz i więcej nie powtórzę: to wahanie to nie jest wstyd. To jest ostatnia ludzka rzecz, jaka ci została, zanim wojna ją zabierze. Trzymaj się jej, jak długo możesz. Będzie dzień, że jej zabraknie, i wtedy będziesz taki jak ja — żywy i pusty. Póki się wahasz, jeszcze jesteś człowiekiem.

Milczeli. Za rzeką, na murach Saby, obrońcy nie śpiewali zwycięstwa — byli zbyt zmęczeni i sami stracili dość. Ale nie było też pieśni po stronie egipskiej.

— Paser wierzył w tę rzekę — odezwał się w końcu Ineni.

— Wierzył. — Sennedjem patrzył w ciemność. — To opowiem jego dzieciom, jak wróć. Że wuj wierzył, że ich dowódca zawrócił rzekę. Niech mają bajkę. Prawda i tak ich dopadnie sama, jak każdego.

Na murze

Nocą, gdy miasto spało snem głodnych — płytkim, czujnym, przerywanym — Tarbis stała na wschodniej wieży i patrzyła na ogniska Egipcjan po drugiej stronie wody.

Liczyła. Nie ludzi — ognisk było zbyt wiele i zbyt kłamały, bo doświadczony wróg pali ich więcej, niż ma oddziałów. Liczyła próby. Most. Tratwy.

Łodzie. Trzy razy woda oddała im ich zabitych, i trzy razy człowiek po drugiej stronie zawrócił, zanim duma kazała mu utopić resztę wojska.

— On nie jest głupi — powiedziała, bardziej do siebie niż do wielkiego cienia, który stał obok i zasłaniał jej połowę gwiazd.

— Głupi utopiłby już połowę armii i poszedł do domu — zgodził się Menkhaf, obracając w palcach kości do gry, których od początku oblężenia nie miał z kim rzucać, bo wygrywał zbyt regularnie, żeby ktokolwiek jeszcze siadał z nim do gry. — A ten liczy. Nie lubię wrogów, którzy liczą. Wolę takich, co rzucają się z krzykiem — takiego to człowiek widzi i wie, co robić. Raz pod Meroe rzucił się na mnie jeden, wielki jak dwóch mnie...

— Menkhaf.

— ...i to teraz nieważne — dokończył pojednawczo, bo znał ten ton.

— Trzy razy próbował przejść wodę — ciągnęła Tarbis. — Trzy razy przegrał. Człowiek, który liczy, nie spróbuje czwarty raz tego samego. Przystanie walczyć z wodą.

— To co zrobi? Przeleci?

— Zmieni ją. — Powiedziała to cicho, i sama poczuła, że od tych dwóch słów robi jej się zimniej niż od wiatru znad rzeki. — Woda nas broni. Więc odbierze nam wodę. Zbuduje tamę, obniży rzekę, odsłoni bród — i przestaniemy być wyspą.

Menkhaf schował kości i przez chwilę trawił to razem z głodem, który burczał mu w brzuchu na tyle głośno, że oboje udali, że nie słyszą.

— To poczekamy, aż zbuduje, i pomodlimy się, żeby rzeka mu ją zabrała — powiedział w końcu. — Tak się robi w oblężeniu. Czeką się. Ja jestem dobry w czekaniu. Pod Meroe czekałem w zasadzce trzy dni, nie ruszając się wcale.

— Wcale?

— No, może małym palcem. Świerzbil. — Wyszczrzył się w ciemności, ale zaraz spowaźniał. — Tylko, księżniczko, czekanie to jego gra, nie nasza. To on ma czas.

— Wiem. — Odwróciła się od wody, i w świetle pochodni jej twarz miała ten wyraz, którego oficerowie bali się bardziej niż Egipcjan. — On ma czas, ma zboże, ma cały Egipt za plecami. My mamy sześć tygodni i dzieci, które

chudną. Kto czeka, ten przegrywa wolniej — ale przegrywa. Nie zamierzam przegrywać wolniej. Kiedy on zbuduje tamę, ja mu ją spalę.

— Ludziom się to nie spodoba — powiedział strażnik, już bez śladu żartu. — Posyłanie ich za wodę, w noc, na jego roboty. Będą gadać, że kobieta rzuca ich na śmierć.

— Wiem. — Popatrzyła znów na ogniska. — Powiedz mi coś, czego nie wiem.

Menkhaf pomyślał uczciwie, bo był z tych, którzy na takie polecenie odpowiadają serio.

— Kucharz gotuje dziś ostatnią kaczkę w mieście — oznajmił z powagą, na jaką zasługiwała wiadomość tej wagi. — Jak chcesz kawałek, trzeba iść teraz. Rano zostanie już tylko wspomnienie kaczki i kłótnia o to, kto ją zjadł. A ja, gdyby co, z góry ręczę, że to nie ja — chyba że mnie ktoś sprowokuje zapachem.

I mimo wszystko — mimo wody, tamy i sześciu tygodni — Tarbis się uśmiechnęła. Krótko, ledwie, ale się uśmiechnęła; bo po to właśnie trzymała przy sobie tego wielkiego, głodnego, niemożliwego człowieka: żeby raz na jakiś czas przypominał jej, że pod rachunkami wciąż jest miasto ludzi, którzy chcą jeszcze kęsa kaczki, zanim przyjdzie to, co ma przyjść.

Tama na rzece

Po dwóch przegranych na wodzie Mojżesz odłożył miecz i sięgnął po łopatę — tama powyżej miasta, żeby obniżyć poziom Nilu i odsłonić bród, którym piechota przeszlaby sucho tam, gdzie tratwy i łodzie ginęły.

Kopali za dnia, poza zasięgiem strzał, i po raz pierwszy od tygodni żołnierze robili coś, przy czym nikt nie ginął, i już samo to podnosiło ich na duchu bardziej niż racja piwa.

Sennedjem i Ineni kopali ramię w ramię, w błocie po kolana.

— Wolę to niż wodę — powiedział chłopak, i po raz pierwszy od przybycia pod Sabę w jego głosie było coś lekkiego.

— Każdy stary żołnierz woli — odparł weteran, wbijając łopatę. — Łopata nie oddaje. Kopalem takie tamy trzy razy w życiu. Raz się udało. Rzeka to jak wróg, którego nie widać — czasem się poddaje, częściej nie.

Nadzorował robotę inżynier imieniem Bata, chudy, wiecznie zatroskany człowiek z Memfis, który mówił o wodzie jak inni o kobiecie — z podziwem i strachem naraz.

— Trzyma — mruknął Bata trzeciego dnia, chodząc wzdłuż wału z miarą i sznurem, i było w jego głosie zdziwienie człowieka, który spodziewał się gorzej. — Popatrz. Tam, gdzie zwężiliśmy koryto, woda stoi już wyżej po naszej stronie, a niżej opada. O palec, może dwa. Ale opada.

— To się uda? — zapytał go wprost Sennedjem, oparty na łopacie.

Bata popatrzył na niego wzrokiem człowieka, który nie umie kłamać, bo cyfry mu nie pozwalają.

— Uda się — powiedział powoli. — Tylko nie tak, jak chcą żołnierze, czyli jutro. Rzeki się nie zatyka, chłopcze. Rzekę się przenosi. Jeśli wał urośnie dość wysoko i dość szeroko, Nil nie przeleje się przez niego — pójdzie tam, gdzie mu każe spadek: w stare boczne koryto pod zachodnim brzegiem. A wtedy tu, przed murami, poziom opadnie na tyle, że odsłoni się bród — i Saba przestanie być wyspą. — Postukał sznurem w usypaną ziemię. — Potrzebuję do tego pięć razy więcej kamienia, niż mam, i trzech tygodni zamiast trzech dni. Ale kamień jest w górach, a Wielki Dowódca ma ludzi, którzy go zniosą. To nie jest niemożliwe. To jest tylko ciężkie — a ciężkie i niemożliwe to dwie różne rzeki.

Mojesz, gdy mu to powtórzono, nie wahał się. Posłał ludzi w góry po kamień i kazał sypać dalej.

Trzeciego dnia wieczorem woda — która nie znosi, gdy się jej rozkazuje — znalazła słabsze miejsce i podmyła wał u podstawy; nie cały, ale dość, by w pół godziny zabrać robotę całego dnia. Żołnierze stali i patrzyli, jak rzeka odgryza im kęs pracy, i był w tym smak przegranej.

Ale Mojesz nie odszedł od wody, jak odszedłby dowódca, który z rzeką walczy. Obszedł wyrwę, wysłuchał Baty, kazał sypać szerzej u podstawy i dalej od głównego nurtu — i następnego ranka wał rósł znowu: niższy, lecz mocniejszy, jak człowiek, który po upadku wstaje ostrożniej i twardziej. Odtąd rósł już codziennie. Powoli. Nieubłaganie. Kęs kamienia po kęsie, dzień po dniu, coraz głębiej w nurt.

— Widzisz, chłopcze? — powiedział Sennedjem, patrząc, jak wał pełźnie w rzekę. — Głupi dowódca walczy z rzeką i przegrywa. Mądry z nią nie

walczy — przenosi ją. Tej wody nie pokona nikt; ale można ją oszukać, powoli, aż sama pójdzie tam, gdzie jej wskażesz. I dlatego za nim idę. On się rzece nie kłóci. On jej cierpliwie pokazuje drzwi.

Ineni patrzył na rosnący wał i po raz pierwszy pojął, dlaczego w mieście po drugiej stronie wody — którego nie widział — ktoś tej nocy nie zaśnie. Bo wał, który rośnie codziennie, jest gorszy od szturmu. Szturm przychodzi i mija. Tama tylko rośnie — i każdy nowy dzień odbiera rzece kolejny palec, a miastu kolejną godzinę.

Kamień szedł z gór, wał piął się w nurt, a Mojżesz — który nie znoślił czekać na jedną rzecz, gdy można próbować wielu naraz — sięgał tymczasem i po drogi dziwniejsze. Choćby tę przez powietrze: Paihu zaproponował ibisy jako zwiadowców, ptaki przelatujące nad murami i wracające do klatki z informacją. To, jaką informację ptak miałby przekazać, nie było do końca jasne nawet dla samego Paihu. W praktyce ibisy latały, gdzie chciały, nie gdzie je posyłano, i połowa poleciała w stronę rzeki, nie miasta. Paihu, z dobrym humorem, który nie opuszczał go nawet przy niepowodzeniu, powiedział, że ibisy są mądre, ale niewojskowe.

Wypad

Tama rosła dokładnie tak, jak Tarbis przepowiedziała na murze — a to, że ją przewidziała, wcale nie czyniło jej mniej groźną.

Ze wschodniej wieży obserwowała ją od trzech dni: rosnący wał z koszy i ziemi, wbijany w rzekę tam, gdzie była najpłytsza, i rozumiała, co znaczy, na długo zanim zrozumieli to jej oficerowie. Nie mury trzymały Egipt po drugiej stronie wody — trzymała go rzeka. Gdyby tama obniżyła poziom choćby na wysokość kolana, odsłoniłby się bród, a wtedy Saba przestałaby być wyspą i stałaby się miastem z murem, jakich Egipt brał dziesiątki. Tarbis liczyła dni do tego z taką samą zimną dokładnością, z jaką liczyła worki ziarna w spichlerzach.

Zwołała oficerów tej samej nocy.

— Ta tama zabije nas pewniej niż głód — powiedziała, bez wstępu. — Głód daje nam tygodnie. Woda, która opadnie, da nam jedną noc. Musi zniknąć, zanim urośnie.

— Pani — odezwał się Peye, najstarszy z jej setników, człowiek, który służył jeszcze jej ojcu. — Żeby do niej dojść, trzeba przejść wodę pod ich wartą. To nie jest wypad. To wysłanie ludzi na śmierć, żeby popsuili Egipcjaninowi kilka koszy.

— Nie kilka koszy. Całą pracę tygodni, i noc snu, w której poczuje, że nie jest bezpieczny nawet za rzeką. — Tarbis wskazała punkt na szkicu, który sama nakreśliła. — Jest boczne koryto po wschodniej stronie, którego nie ma na żadnej egipskiej mapie, bo Egipcjanin przyszedł tu miesiąc temu, a nasi rybacy rodzą się na tej wodzie. Przejdą nim boso, w nocy bez księżyca, i będą przy tamie, zanim warta zdąży krzyknąć.

— Ilu? — zapytał Peye.

— Stu pięćdziesięciu. — Zobaczyła, jak drgnął, i uprzedziła sprzeciw. — Ani jednego więcej, bo więcej nie mogę stracić. Ani jednego mniej, bo mniej nie spali tamy. — Popatrzyła po nich, po tych twardych ludziach, którzy woleliby, żeby rozkaz wydał mężczyzna. — Wiem, o co proszę. Proszę o to i tak.

Peye długo patrzył na szkic. Potem skinął głową — nie dlatego, że się zgodził, lecz dlatego, że nie miał lepszego pomysłu, a to bywa jedyną zgodą, na jaką stać żołnierza.

Poszli w trzeciej straży, boso, z nożami trzymanymi płazem, żeby brąz nie błysnął. Prowadził ich młody dziesiętnik imieniem Nesta, który znał boczne koryto lepiej niż ktokolwiek, bo łowił w nim ryby, odkąd sięgał pamięcią, i który przez całą drogę powtarzał sobie w duchu słowa, jakie matka mówiła nad jego kołyską, bo w wodzie po pas, w ciemności, człowiek chwytą się tego, co ma.

— Cicho teraz — szepnął ktoś za nim. — Bliziutko.

— Wiem, gdzie blisko — odszepnął Nesta. — Urodziłem się w tej wodzie. To wy uważajcie, gdzie stawiacie stopy, mieszczuchy.

Ktoś zdławił śmiech, i ten zdławiony śmiech był ostatnią lekką rzeczą tej nocy.

Wyszli z czarnej wody wprost między kosze i drewniane rusztowania, i przez pierwsze straszne chwile noc należała do nich. Egipska warta przy tamie była za słaba — nikt nie stawia najlepszych ludzi tam, gdzie się nie spodziewa wroga — i robotnicy z łopatami ginęli pod nożami ludzi, których

nie zdążyli zobaczyć. Płonęły rusztowania. Ktoś przeciął liny, na których miały ruszyć pierwsze wielkie bloki, i tygodnie kopania osunęły się w błoto w kilka oddechów. Nesta ciął i palił razem z innymi, i przez jedną oszałamiającą chwilę myślał, że to naprawdę takie proste.

A potem noc się skończyła.

Bo Mojżesz spał tej nocy w zbroi, jak sypiał od pierwszego szturmu, i był przy tamie, zanim posłaniec zdążył do niego dobiec. I nie zrobił tego, na co liczyła Tarbis — nie rzucił ludzi na oślep w ciemność, gdzie zabijaliby się nawzajem. Zrobił coś gorszego dla ludzi w wodzie: kazał zapalić każdą pochodnię, jaką obóz miał pod ręką.

Noc, która była ich najlepszą bronią, zniknęła w jednej chwili. Nesta, oślepiony nagłym światłem, zobaczył nagle to, czego ciemność litościwie mu nie pokazywała: ilu Egipcjan już ich otacza, jak wąskie jest przejście z powrotem do wody, i jak daleko jest brzeg, na którym czekają teraz łucznicy, którzy wreszcie widzą cele. Ktoś krzyknął odwrót, i to była jedyna słuszna komenda, i zarazem początek rzezi.

Wypad, który zaczął się jak rzeź, zamienił się w rzeź w drugą stronę. Odwrót przez wodę, w świetle pochodni, pod strzałami, był drugą bitwą, gorszą od pierwszej. Nesta dopłynął do bramy Saby jako jeden z niecałej połowy tych, którzy z niej wyszli — ciągnąc za sobą ранego, którego imienia nie znał, bo tak robi się w wodzie, kiedy już nie ma nic do stracenia prócz człowieka obok. Brama uchyliła się dla nich na tyle, na ile musiała, i zamknęła szybciej, niż niektórzy zdążyli dobiec, bo dowódca, który otwiera bramę oblężonego miasta zbyt szeroko i zbyt długo, przegrywa je jedną nocą.

Tarbis patrzyła z wieży, jak wracają, i liczyła — nie dlatego, że chciała, lecz dlatego, że nie umiała inaczej. Tama płonęła; dostała, po co posłała ludzi. Ale wróciła niecała połowa, i przez chwilę stała nieruchomo, z tym ciężarem, którego nie wolno jej było pokazać nikomu, bo garnizon, który zobaczy, że dowódca liczy trupy z drżeniem rąk, przestaje być garnizonem. Odwróciła się dopiero, gdy była pewna, że twarz znów jest jej posłuszna.

Tylko Menkhaf widział, ile ją to kosztowało — bo tylko on stał na tyle blisko, i tylko on miał do tego prawo. Nie opowiedział żadnej historii; ze wszystkich rzeczy, w jakich był wielki, największy był w tej jednej, o której

nikt nie wiedział — w milczeniu, kiedy milczenie było jedyną rzeczą wartą podarowania.

— Spaliłaś mu tamę — mruknął w końcu. — Tygodnie roboty w błoto. Będzie zły jak skorpion w bucie.

— Wróciła niecała połowa — powiedziała cicho, tak, żeby usłyszał tylko on.

— Wiem. Liczyłem razem z tobą. — Patrzył na wodę, nie na nią, bo wiedział, że patrzeć jej w twarz w takiej chwili to jak zrywać komuś dach nad głową w deszcz. — Ale posłuchaj mnie raz, bo mówię serio, a wiesz, że nie lubię. Ci, co wrócili, wrócili dlatego, że poszli po coś — a nie stali i patrzyli, jak rzeka opada im pod nogami. Człowiek woli zginąć, robiąc, niż czekać, aż go wygłodzą. Dałaś im robotę. To nie jest mało.

Tarbis nie odpowiedziała — ale została przy nim chwilę dłużej, niż musiała, i to była cała podzięką, jakiej Menkhaf i tak nigdy nie przyjąłby na głos.

O świcie Mojżesz stał nad tym, co zostało z tamy, i też liczył — najpierw drewno, potem ludzi. Tygodnie pracy przepadły; osłona z pochodni i zimna głowa uratowały obóz, ale nie tamę. A jego własnych zabitych było więcej, niż powinno być przy „udaremnionym” wypadzie — dość, by zrozumiał rzecz, której poprzednie szturmy mu nie powiedziały: że ktoś za tym murem nie czeka biernie na głód. Że ktoś tam patrzy na jego obóz tak, jak on patrzy na miasto — i uderzył w jedyną rzecz, która naprawdę mu zagrażała, w jedynej chwili, gdy mogło się to udać.

— To nie był rozpaczliwy zryw głodnych — powiedział do Ahmosego, patrząc na dogasające rusztowania. — To był rachunek. Ktoś tam w środku liczy tak samo jak ja. — Odwrócił się od rzeki. — Dowiedz się, kto.

Boczna brama

Kolejne dni nie przyniosły nic nowego do wypróbowania. Ale Mojżesz nie znosił bezczynnego czekania, a zapasy Saby, choć skromne, wciąż trzymały miasto przy życiu. Sięgnął więc po metodę, której nie omawiał przy radzie oficerów — bo wymagała dyskrecji, jakiej rada, z jej licznymi ustami, dać nie mogła.

Wśród kupców ciągnących za armią był Nakhtsobek — handlarz solą i suszoną rybą, który przed wojną prowadził interesy także w Sabie i znał miasto oraz część jego mieszkańców z czasów pokoju.

Mojżesz wezwał go nocą, sam, bez Ahmosego, bez świadków poza nieuniknionym wartownikiem przy wejściu do namiotu.

— Znasz ludzi w mieście — powiedział, bez wstępu.

— Znałem, Wielki Dowódco. Przed oblężeniem. Czy znam ich teraz, po tygodniach głodu i strachu — tego nie mogę obiecać.

— Strażnik przy bocznej bramie, tej na wschodzie, mniejszej, słabiej obsadzonej niż główne wejście — powiedział Mojżesz, korzystając z informacji, którą zwiad zbierał cierpliwie przez tydzień obserwacji murów. — Czy znasz kogoś, kto mógłby do niego dotrzeć?

Nakhtsobek myślał długo, ważąc pytanie ostrożnie, jak mają w zwyczaju ludzie, którzy żyją z handlu w czasach, gdy informacja jest towarem niebezpieczniejszym od soli czy ryb.

— Mam kontakt. Człowiek, który przed wojną kupował u mnie towar na targu przy wschodniej bramie. Czy zgodzi się teraz — nie wiem. Głód zmienia ludzi, czasem na gorsze, czasem na takich, którzy w końcu są gotowi zrobić to, czego nie zrobiliby najedzeni.

— Zapłać mu więcej, niż myślisz, że potrzebujesz zapłacić. Złoto, nie obietnice.

Nakhtsobek wyszedł tej samej nocy, korzystając z tych samych dróg handlowych, które omijały główne posterunki obu armii, dróg, o których kupcy wiedzieli, a wojsko rzadko.

Wrócił trzy dni później, z wiadomością, którą Mojżesz przyjął z ostrożną nadzieją, jaką ma dowódca słyszący o planie mogącym skrócić oblężenie bez kolejnej bitwy.

— Zgodził się — powiedział Nakhtsobek. — Za cenę, którą zapłaciłem z twojego złota, i za obietnicę bezpiecznego wyjścia z miasta dla niego i jego rodziny, kiedy bramy się otworzą. Otworzy boczną bramę szóstej nocy od teraz, kiedy zmiana wart jest najlepsza.

Mojżesz przygotował oddział — niewielki, dwudziestu ludzi, tyle, by wejść przez bramę i utrzymać ją otwartą, zanim większa siła zdąży dołączyć, planując to tak precyzyjnie, jak planował każdą bitwę tej kampanii.

Szóstej nocy oddział czekał w ciemności przy wschodnim murze, licząc uderzenia własnych serc bardziej niż czas, czekając na sygnał, który miał przyjść od strażnika — krótkie, przyciszone światło lampy, trzy razy, sygnał ustalony przez Nakhtsobka.

Sygnał nie przyszedł.

Zamiast niego — krzyki z murów, pochodnie zapalające się jedna po drugiej wzdłuż całej linii obrony, i głos, niosący się przez ciemność w języku, którego większość żołnierzy Mojżesza nie rozumiała, ale którego ton nie wymagał tłumaczenia.

Oddział wycofał się w ciemność, niezauważony, ale Mojżesz, patrząc z dystansu przez resztę nocy, widział to, czego się obawiał najbardziej — przy świetle poranka, na murach, przy tej samej bocznej bramie, ciało, zawieszone tak, by było widoczne z obu stron rzeki, z obu armii, z całego miasta.

Cień w obozie

Ciało wisiało na murze do południa, aż Etiopczycy zdjęli je — nie z litości, lecz dlatego, że spełniło już swoje zadanie: pokazało obu armiom, co Saba robi ze zdrajcami.

Mojżesz nie kazał ludziom patrzeć w tamtą stronę, ale i nie zabronił. Żołnierz, który raz zobaczy, jak kończy człowiek, który otworzył bramę za złoto, dwa razy się zastanowi, zanim sam po cudze złoto sięgnie. Okrucieństwo bywa wykładem.

Wieczorem, gdy obóz ścichł, do jego namiotu weszła kobieta, której wartownik nie zapowiedział — bo, jak się okazało, wartownik jej nie zauważył.

Mojżesz ją znał. Przyszła z ostatnim taborem z Memfis, sześć tygodni wcześniej, z listem od Termutis, którego nie musiał czytać dwa razy, żeby zapamiętać: *Ufaj jej tak, jak ufasz mnie. Resztę powie sama, kiedy uzna, że pora.*

Do tej nocy uznawała, że pora nie nadeszła.

— Wiedzieli — powiedziała Nehset, bez powitania. — O bramie wschodniej. Zнали noc, znali zmianę wart, znali sygnał lampą. Człowiek w mieście nie wydał się sam. Ktoś go wydał, zanim zdążył cokolwiek zrobić.

— Nakhtsobek. Kupiec.

— Nie. Kupiec wziął złoto i milczy, bo milczenie to jego zawód. — Nehset stała tam, gdzie cień namiotu był najgęstszy, jakby i we własnym obozie wołała nie stać w świetle. — O tej bramie wiedziało sześciu ludzi. Ty. Ja — bo ja wiem o wszystkim, co robisz, taki mam rozkaz. I czterej, którym powiedziałaś, bo bez nich planu nie dało się wykonać. Jeden z tych czterech pisał do Saby, zanim ty napisałaś do kupca.

Mojesz milczał. Za płótnem namiotu obóz oddychał snem siedmiu tysięcy ludzi, z których każdemu ufał aż do tego wieczoru.

— Po co ktoś z moich miałby zdradzać miasto, które sam oblega?

— Bo nie oblega miasta. Oblega ciebie. — Powiedziała to spokojnie, jak mówi się rzecz od dawna wiadomą, na którą tylko się czeka, aż druga strona ją usłyszy. — Miasto padnie albo nie padnie — jemu wszystko jedno. Jemu chodzi o to, żebyś nie wrócił do Memfis w koronie zwycięzcy. Każdy twój plan, który przybliży koniec oblężenia, jest jego wrogiem. Więc każdy twój plan przecieka przez mur, zanim zdążysz go wykonać.

— Skąd to wszystko wiesz.

— Bo po to mnie tu przysłano. — Pierwszy raz spojrzała mu w oczy, i było w tym spojrzeniu coś, czego nie umiał od razu nazwać — nie uległość podwładnej ani chłód szpiega, lecz uważność kogoś, kto patrzy na drugiego człowieka jak na siebie. — Kobieta w Memfis, która nazywa cię synem, przeczytała list z egipską pieczęcią w obozie króla, którego oblegasz. List obiecywał Kush jedno: że jeśli zatrzymają cię pod tymi murami dość długo, ktoś w Egipcie dopilnuje, byś stąd nie wrócił żywy. Wysłała mnie, żebym stanęła między tobą a tym listem. Stoję.

Mojesz przyjrzał się jej — postaci niskiej, ciemniejszej niż Egipcjanie, w stroju, który nie należał ani do obozu, ani do miasta.

— Jesteś z Kush.

— W połowie. Matka stamtąd. — Skinęła głową w stronę murów, za którymi leżało miasto jej matczynej krwi. — Więc tak, oblegam miasto swoich. A ty jesteś Egipcjaninem, który jest Hebrajczykiem. Dobrała nas w

parę, Wielki Dowódco. Dwoje ludzi bez jednego kraju, walczących o kraj, który nie jest do końca ich. — Pierwszy raz coś w rodzaju uśmiechu przemknęło jej przez twarz i zniknęło. — Może dlatego Termutis wybrała mnie. Wiedziała, że zrozumieć, jak to jest stać na moście i nie wiedzieć, na którym brzegu jest się w domu.

Odwróciła się do wyjścia.

— Znajdź mi go — powiedział Mojżesz w jej plecy. — Tego jednego z czterech.

— Znajdę. — Zatrzymała się w progu, nie odwracając głowy. — Ale nie zabijaj go, kiedy znajdę. Martwy zdrajca to zamknięte usta. Ja chcę wiedzieć, czyja pieczęć była pod tym listem — bo ten, kto ją przyłożył, siedzi w Memfis, nie tutaj. I to jego trzeba się bać, nie posłańca.

Wyszła tak cicho, jak weszła. Mojżesz został z wiedzą gorszą od murów Saby: że najgroźniejszy wróg tej kampanii nie stoi za rzeką, lecz śpi po tej stronie, między jego własnymi ludźmi, i zna każdy jego plan, zanim ten plan zdąży się wydarzyć.

Koniec rozdziału I